# TYGODNIK
## POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

| DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ" | DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ" |
|---|---|
| W Stanach Zjednoczonych i Canadzie ............$1.00 | W Stanach Zjednoczonych i Canadzie ............$2.00 |
| Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50 | Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50 |

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 7. *Chicago, Ills., 13 Sierpnia, 1885 r.* Rok II.

# TRZY MIESIĄCE.

## ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU.

WYDAŁ

JOZEF NARZYMSKI.

(Ciąg dalszy.)

Czułem, że sił mi brak... Boże mój! czyż dla tego mi taką chwilę zesłałeś, żeby samobójstwo ukarać?... W głowie mi się mąciło... Mieć taki raj, takie szczęście i ginąć... Byłbym i Wirską i Wirskiego poszarpał w tej chwili na szmaty!...

Przy pierwszej sposobności siadłem na ławeczce... kobiety oddalały się... Gdym ją ujrzał niknącą w cieniu rozpacz mnie ogarnęła.

— Raczej spodlić się, jak ją stracić!...

Zadrżałem na myśl tę... zdawało mi się, że na twarzy czuję policzki, że Wirski szyderczo mi się kłania, że ludzie mnie palcami wytykają i wołając: podły... plują... że ojciec surowo patrzy się na mnie i mówi smutnie:

— Honor — Karolu!... honor przedewszyskiem!...

I Maryi dać nazwisko człowieka, którego Wirski miałby prawo kazać lokajowi kijem obić... Nie, precz myśli takie!... Jutro... za parę godzin może, dowiesz się o najdroższa, czemu twój Karol tak cierpiał!... Bo tyś go kochała, a on zamiast w twoje objęcia... powiedz najmilsza!... możeż być piekło straszliwsze!... Wszak mu przebaczysz i nie zapomnisz!...

Ah! trzy kwadranse dochodzi!... czas już...

(Tu w rękopiśmie rozpoczyna się pismo ołówkiem, szybkie i urywane — niektóre miejsca tak krwią zalane, że ich odczytać niepodobna. Oto, co się odcyfrować dało. Przyp. Wyd.)

Sądziłem, że to dalej... W pięć minut już byłem na miejscu... Mam jedenaście minut jeszcze... Chcę, żeby ukochani moi byli ze mną aż do chwili ostatniej... Dziwnie ta altanka

wygląda przy świetle mojej latarki... jak grób... Ha, to dobrze... Świeczko!... wiesz ty, że życie twe dłuższe od mego... ale zgaśniesz jak wszystko... Ja cię jednak nie zdmuchnę... nie... żyj sobie...

Tu w serce!... tak.... głowy nie myślę trzaskać... Widziałem trupa ze strzaskaną głową, straszny, obrzydliwy!... Ona może mnie zechce obejrzeć po śmierci... i ona i matka... pocóż wstrętem pamięć moją zapra...

W jej oknie się świeci... ona tam klęczy!... Maryo uważaj!... Za chwilę duch mój przepłynie zwolna koło ciebie i na twem czole...

Ah! co za noc!... I matka moja się modli!... Zdaje mi się, że słyszę jej modlitwę za syna... O dobrze!... dobrze!... najdroższe moje... módlcie się... on taki nieszczęśliwy!... taki grzeszny!... Bóg mu dał wszystko — i was... a niczego użyć nie umiał...

Ale nie lękajcie się... Wyście go nauczyły wierzyć... Jestem w tej chwili pewny, że to nie koniec wszystkiego... że gdzieś... kiedyś... znajdziemy się ze sobą .. że i teraz... tego co nas wiąże, kula nie przetnie... Alboż ja was nerwami tylko kocham...

.......................................

Śmierć z daleka tylko straszna... Oto stoi tu i pokazuje kościstym palcem, że tylko brak dwóch minut... a przecież nie drzę. Jeżeli piszę niewyraźnie, to dla tego tylko, że się spieszę. Tyle mam do powiedzenia!... Ale wierzcie mi, jestem spokojny... nawet do Wirskiego nie mam żalu... Nie dziwię mu się... Gdybym ją kogo!... Co za myśl!...

.......................................

Minuta!... Jakie cudne powietrze... jaka cisza uroczysta!... ah! ostatni oddech całą piersią!... co to za rozkosz oddychać!...

A tam światełko w jej oknie błyszczy, a tam matka się modli, a Iza słodko marzy... Ah! pierwsze uderzenie!... nie, to kwadranse!... Maryo!... matko!... siostrzyczko moja!... wszyscy!... wszyscy!...

Raz!... jak szybko bije!...

I ty Boże przebacz mi!...

Trzy!...

Kocham i umieram... Wszak to dosyć kary za samobójstwo... Ale honor!... Maryo!... Dziewięć... Czas!... Pamiętaj... Żegnam...

---

## EPILOG WYDAWCY.

Na tych wyrazach kończył się rękopism. Reszta kartek, zresztą pustych, przesiąkła była i zlepiona krwią spiekłą i czarną, co dowodziło, że katastrofa spełnioną została.

Nie wiem, czy w tem się zgodzimy ze sobą, Szanowni państwo moi, ale czytanie tych urywków zajęło mnie i zrobiło na mnie wrażenie. Spowiadający się wprawdzie nie był żadną wyjątkową istotą. Był to młody człowiek jak inni, o gorętszych tylko uczuciach, żywszej wrażliwości i lotniejszej wyobraźni...

W jego zwierzeniach wiele może było tego, co się w przyzwoitem towarzystwie nazywa egzaltacyą... Dziś ani tak się nie unoszą nad kawałkiem lasu, ani tak nie egzaltują nad panną. Tłumaczy go stan jego nader smutny i rozstrój nerwów, bo to był zresztą człowiek dobrze urodzony.

Ten jednak obraz młodości pełnej życia i pragnień w zapasach z fatalną koniecznością śmierci, ta spowiedź szczera człowieka znajdującego się w dziwnem położeniu, te porywy, upadki, przemiany i rewolucye, jakie zachodziły w obec wieczystej zagadki w duszy podobnej do tysięcy dusz dzisiejszego pokolenia, interesował mnie, zajmował i zaciekawiał.

Przyznam się państwu, żem nawet pokochał bohatera... Excusez du peu, lwy i lwiątka salonowe, ale jest różnica między pojedynkiem na liche i licho nabite pistolety, a takim spacerem do grobu z całą wiedzą konieczności i chwili, trwającym trzy miesiące...

Smutny więc byłem, zwłaszcza, że w tymże samym zapewne pokoju Karol żegnał życie, że tu ostatnie kartki pisał, że tu, na tem łożu skrwawiony trup jego leżał. Chciałem się chwilami gniewać na niego, że takie piękne zmarnował życie, że tyle serc zakrwawił, i to dla głupstwa... Ale przebaczyłem mu to. Miło jest, że dziś, gdy wszelkie słowa malujące niemateryalne rzeczy, tracą znaczenie i wagę, ktoś umiał poświęcić w ten męczeński sposób życie dla idei, choćby tak sztucznej jak honor!

Widziałem go prawie jak brał rękopism, rewolwer opatrywał, zapalał latarkę i wychodził, by wrócić trupem... Wyobrażałem sobie twarz jak kreda bladą i usta zacięte i krok stanowczy...

Chcąc te mary arcy-niezdrowe przy kąpielach rozpędzić, zapaliłem świecę... i machinal-

nie zacząłem raz jeszcze odczytywać ostatnie ustępy rękopismu. Skończywszy, spojrzałem na następną, już zakrwawioną kartę, i dopiero teraz, przy świecy, dostrzegłem, że na rogu, który pozostał czystym, jest coś ołówkiem napisanego.

Z biedą odczytałem te słowa, posuwistym, kobiecym charakterem napisane i zatarte:

„Mówiłam przecie, że się to wszystko ślubem skończy".

— Co to być może? myślałem. Czy żart nieprzyzwoity?... Ale któżby śmiał?... Zdaje mi się, że ten frazes nie obcy?... Ah! prawda, to słowa Izy... czytałem je gdzieś w manuskrypcie.

Dopisek ten zaintrygował mnie bardzo. Czyżby rzeczywiście ta cała historya mniej się tragicznie skończyła?... Czyżby w ostatniej chwili zabrakło odwagi?... Ależ ta krew?...

Późno w noc myślałem o całej tej sprawie, i wiele mi moralnych myśli przychodziło do głowy, n. p. o złych skutkach bałamucenia mężatek.. mających takich mężów jak Wirski, o nieszczęśliwym wynalazku balkonów, które już niejednego nieszczęścia stały się powodem, o tem co to jest ów honor, o... ale mniejsza o to...

Ale rano, wyszedłszy na wody, wytrzymać nie mogłem i schwytawszy mego doktora, którego znałem jeszcze w Wiedniu, zacząłem go wypytywać o tę sprawę.

— Ah! nie słyszałeś pan o tem?... zapytał.

— Nic a nic... Znałeś pan tego...

— Comment donc!... zawołał, bo mówiąc doskonale po francuzku, co wyjątkiem jest u lekarzy niemieckich, pasyami lubił się tym językiem popisywać. — Comment donc!... Mon cher Charles?... Si je le connais!... Oh! Polonais, Polonais! — (Jakże! Mój drogi Karol?... Czy go znam!... Oh! Polacy, Polacy)! — wołał śmiejąc się — vous êtes tous les mêmes!... Il faut vous aimer malgré soi... Ce Charles par exemple! Ah! C'était un fou... bête, peut-être!... mais brave!... brave!... parole d'honneur... — (jesteście zawsze tymi samymi!... Trzeba was kochać pomimo woli... Ten Karol naprzykład! Ah! Był głupcem... osłem może!... lecz odważnym!... odważnym!... słowo honoru...)

— Niechże mi konsyliarz to opowie... Więc nie zabił się?...

— Ba!... ba!... jakże!... zabił się, ale żyje...

— Cóż to?... cud czy żart?...

— Nie... ale jeżeli chcesz, nauka cuda robi... przy pomocy natury, młodości... i de l'amour aussi... (i miłości także.)

— Wierzę... wierzę... ale zlituj się konsyliarzu, powiedz mi co wiesz o tym samobójcy...

— Najprzód — zaprotestował doktór — to nie samobójca, bo nie sam się zabił, tylko zabiło go poczucie honoru... to różnica...

— Prawda...

— Otóż on tam gdzieś uwiódł jakąś księżnę...

— Ah! księżnę!...

— No... i przyjął amerykański pojedynek... a to znaczy...

— Znam to konsyliarzu... znam...

— Znasz pan amerykański pojedynek? — rzekł doktór jakby z obawą spoglądając na mnie — nie zazdroszczę... to...

— Ze słyszenia tylko... ze słyszenia. Więc gdy przyszedł termin...

— Otóż gdy przyszedł termin, figurez-vous, mon cher, ten człowiek zasiadł z latarką w tej oto altance... Widzisz ją pan — dodał wskazując kijem przeciwległą nam górę obrosłą lasem — ot tam...

— Widzę... to tam właśnie...

— Tak... Poszedł tam z latarką...

— Wiem... wiem...

— Ah! mon cher — pan wiesz tyle co ja — rzekł jakby obrażony doktór.

— Ależ nie!... znam tylko tę historyę do chwili stanowczej...

Doktor spojrzał na mnie trochę zdziwiony. Chcąc uniknąć pytań dodałem:

— Słyszałem tu o tem, to historya znana... więc...

— Wszystkiem, widzisz, mon cher, kieruje wypadek na tym świecie... Le hazard!.. viola tout!... (Ślepy traf!... to wszystko!...) Otóż ten wypadek chciał, że tego wieczora, już koło jedenastej wezwano mnie do jednej z moich pacyentek, une femme tout-à-fait distinguée, (niewiasta dystyngowana,) ale która miała hysteryczne napady... to choroba arystokracyi... Noc była śliczna i ciepła, nie kazałem się więc odsyłać powozem — i wolałem iść pieszo drogą pod lasem... a służący niósł za mną pudełko z różnemi octami i eterami. Doszedłszy do tego

tu miejsca, patrzę, coś się świeci wśród gąszczu... stanąłem i myślę sobie: co za wściekły amator z latarką o północy chodzi...

— Więc to była północ?...

— Akurat biła dwunasta na wieży. Naraz, figurez-vous zanim ostatnie uderzenie przebrzmiało obok światełka, błysk i huk!... Prawdę mówiąc, zląkłem się w pierwszej chwili. Nie wiedziałem czy strzał do mnie był skierowany, ale upamiętałem się natychmiast i zawoławszy lokaja, wprost wdrapywałem się do altanki... Figurez-vous, (Wystaw sobie,) leżał na lewej poręczy ławki, głowa na dół, długie włosy spadały prawie na ziemię, ręka prawa trzymała rewolwer, lewa zwieszona bezwładnie. Oczywiście trup!... Nie wiedziałem kto to, bo dopiero parę dni przybył, ale widziałem oczywiście que c'est un homme comme il faut... (że to jest człowiek jak się należy...) Na szczęście było światło — natychmiast więc rozdarłem suknie i badać zacząłem. Krew lała się z lewej piersi, ale nie tryskała, jak powinna tryskać z serca. Wyjąłem z pudełka eter najsilniejszy i przytknąłem do nosa. Lekkie odpowiedziało mi drżenie. Byłem już pewny, że w tym człowieku jest iskra życia, a to już dużo. Z iskry zawsze ogień rozdmuchać można, gdy tylko jest materyał... a tu... parole d'honneur ce cher Charles c'est Apollo lui-même. (słowo honoru ten drogi Karol to prawdziwy Apollo) Lokaja lotem posłałem po brankardy, szarpie i ludzi, a sam chciałem chustką krew zatamować. Wtedy spostrzegłem jakąś księgę leżącą na ziemi, na którą krew z rany spływała. Aha!... to poeta — pomyślałem sobie... Ale natychmiast spostrzegłem, że się mylę... Cependant il etait trop bien pour un poete... (Było to za dobre dla poety...) Podniosłem ten krwią przesiąkły szpargał i myślałem, że się czegoś z niego dowiem... ale ani słowa odczytać nie mogłem... Quelle langue barbare vous avez... vous autres Slaves... (Co za język barbarzyński macie wy Słowianie...) Wystaw sobie, ten oryginał pisał do ostatniej chwili...

Nie odpowiedziałem na zaczepkę języka, bo zresztą lekarz lingwistą być nie potrzebuje, ale zapytałem:

— No i cóż...

— A cóż... przedewszystkiem zatamowałem krew... a gdy ludzie przyszli, kazałem go zanieść do hotelu, gdzie stał i posłałem pobudzić kolegów...

— A on żył?... Przyznam się, że to dziwne... Siebie samego zabić gdy się chce... to łatwo...

— Już ja panu ręczę — mówił doktór gorąco — że on chciał się zabić na prawdę, ce fou héroique... (głupiec bohaterski...) nawet znał dobrze anatomię... wymierzył w samo serce... parole d'honneur... (słowo honoru) tu — dodał zapalając się i kładąc palec na mych piersiach — rozumiesz pan... mierzył tu... Ale w chwili strzału naciśnięcie kurka podniosło koniec lufy o parę linii... C'est naturel — (to naturalne) przekonywał mnie poczciwy eskulap gorąco — ce n'était pas la faute de la bonne volonté... Oh!... il n'en avait que trop! cher fou!... (nie było to winą dobrej woli!... Oh!... miał jej nawet za nadto! drogi głupiec!...) Ale uważaj pan jaka pozycya ręki niewygodna... Bierze się rewolwer tak... trzyma tak... traf... lufa musi się podnieść... To było konieczne!... każdy, kto zechce sobie w serce strzelać, zgóruje... Spostrzeżenie to ogłosiłem w Medical Chirurgeon Annals, — mais vous ne connaissez pas ça, n'est-ce pas?... (lecz pan na tem się nie zna, nieprawdaż?...)

— Nie, panie konsyliarzu... No i rana była niebezpieczna...

— Je crois bien!... (Wierzę) i tu doktór lekarskim językiem, którego przez wzgląd na delikatne uszy czytelniczek powtarzać nie będę, opowiedział mi dokładnie i z zapałem i rodzaj rany i sposób i trudności operacyi...

— Słowem — kończył — była to jedna z najświetniejszych kuracyi moich... choć szczerze mówiąc, możebym nie podołał, gdyby nie dziwnie uspokajający, prawie magnetyczny wpływ tej kobiety...

— Jakiej? — zapytałem.

— Ah!... pan nie wiesz... prawda!... powiadam panu dziwnej kobiety... dziwnej... z wolą jak stal... i z łagodnością... nigdy w życiu...

Ale w tej chwili, gdy właśnie doktór, który choć doktór i Niemiec był gorączka trochę i wielbiciel kobiet, przerwać musiał swój zapał, bo go ktoś inny zaczepił.

Zresztą dowiedziałem się wszystkiego, cze-

gom się mógł dowiedzieć... i miałem jakie takie rozwiązanie zagadki.

Szczęśliwa jednak gwiazda moja i wasza zaprowadziła mnie w parę potem tygodni do innych wód niemieckich i... uwielbiajcie traf... zastałem tam mego bohatera...

Czym się starał zbliżyć do niego i zapoznać z nim, z jaką ciekawością oglądałem człowieka, który tak długo i tak z blizka patrzał w oczy Sfinksowi, łatwo zrozumiecie... Nastąpiło to łatwo... i przylgnęliśmy do siebie prędko... ja bom z góry miał doń sympatyę, on, bo miał to serce gorące i otwarte, które z radością i bez podejrzeń przyjmuje przyjaźń szczerą.

Znalazłem go innym przecież zupełnie jak sądziłem. Nie był to młody o szlachetnych popędach i zachceniach, ale bez woli, bez siły, bez jasnego ocenienia obowiązków swoich panicz, nie był to marzyciel dziś, materyalista jutro, wierzący gdy siedział przy kochance, rozpaczający gdy się znalazł sam...

Dziś, to jest gdym go poznal, był to człowiek... był to mąż...

Gdyśmy się zaprzyjaźnili bardziej, przyznałem mu się do odkrycia rękopismu i do mojej niedyskrecyi a razem prosiłem, czyby mi użytku zrobić z tego nie pozwolił?

Zarumienił się z początku i czoło mu się nachmurzyło. Sądziłem, że się rozgniewa... ale po chwili milczenia, namyślił się widać inaczej i rzekł:

— Ha, jeżeli chcesz... Jest tam wiele, może większa część rzeczy, którychbym dziś, nawet w tym samym położeniu nie napisał... ale była to szczera spowiedź tego, co się wtedy we mnie działo... coby się działo w duszy i myśli wielu i wielu mnie podobnych... Człowiek nie pojmuje jakim jest darem życie, i ile w około niego skarbów rozrzuconych... Prócz tego, dla mnie przynajmniej, była to lekcya wyborna... przekonałem się, co najwięcej warte, i z czem rozstać się najtrudniej, zrozumiałem, że jednem z największych upokorzeń jest umierać nic nikomu dobrego nie zrobiwszy, nic, prócz łez osób kochających nie zostawiając za sobą... doświadczyłem, że życie wśród natury uspokaja i robi człowieka lepszym, a co najważniejsza wiem dzisiaj, że człowiek, który prawdziwie kocha, nie może nie wierzyć i nie mieć nadziei... Dziś to, com sam dawniej robił, dziwi mnie... Widząc moich przyjaciół i znajomych, jak się niby bawią, jak dzień za dniem im schodzi na drobnostkach, wizytach, miłostkach chwilowych, intrygach, komerażach, widząc innych, jak gonią za fortuną, jak się sprzedają w ten lub inny sposób, jak spychają jeden drugiego, jak walczą o nic... zdaje mi się, że widzę dom waryatów... rozpacz mnie bierze za tych ludzi, i mam ochotę wołać: „Zlitujcie się!... marnujecie życie!... tracicie drogi czas!... nie kochacie... nie robicie nic, coby zostać mogło — nie czujecie piękności tego, co was otacza... Gdy przyjdzie chwila ostatnia, poczujecie, żeście żyć nie zaczęli... Ja to wiem z doświadczenia... i gdyby nie Marya!..."

(Dokończenie nastąpi.)

# BAŚNIE.

## POTĘPIONA KSIĘŻNICZKA W ZAMKU GNIEŹNIEŃSKIM.

Wiatr wieczorny dął i huczał straszliwie pomiędzy zwaliskami staropolskiego zamku królewskiego w Gnieźnie, którego omeszałe baszty i mury przeglądały się w nurtach modrego jeziora. Na poblizkiej górze Lechowej wznosił się wspaniały tum z wspaniałemi wieżami i kaplicami, a w około niego mnóstwo grobów i nagrobków, umajonych zielonemi krzewy, pokrywały zwłoki wielu naszych sławnych przodków. Opodal tego pysznego gmachu stał ozłocony promieńmi zachodzącego słońca kościół świętego Wojciecha, zbudowany na miejscu, gdzie dawniej wznosiła się świątynia pogańska, której ślady widzimy dotąd

na wschodniej stronie murów kościoła. Tutaj za czasów pogańskich czyniono ofiary słowiańskiemu bożkowi Lelumpolelum, wykutemu z kamienia, zanim jasne światło religii chrześciańskiej niewtrąciło go w otchłanie jeziora, rozpościerającego się wówczas u stóp Lechowej góry. To jezioro zniknęło już oddawna, a jego miejsce zajęła zielona łąka, a na niej dwa małe stawki.

W tej więc wieczornej dobie bawiła się razu jednego gromada chłopców w pobliżu zwalisk zamczyska, napełniając powietrze takim hałasem i wrzawą, że niejeden nietoperz wystraszony opuścił rychlej niż zwykle swą kryjówkę. Gdy się ukazał, powitany został piłką lub kamieniem. Nagle cała chmara nietoperzy zaszumiała w powietrzu. Antoś, syn stolarza, wymierzył nań piłką; inni uchylali głowy i wyciągali ręce, by się przed nimi uchronić. Gwałtowny krzyk i płacz Walentego zwiastował ochoczej zgrai jakieś nieszczęście. Krzyk ten pochodził ztąd, że śliczna nowa piłka Walentego została przez Antoniego wrzucona w głąb zapadłego zamczyska przez otwór znajdujący się w murze.

„Nie płaczże głupcze", rzekł Antoś, „wydostanę zaraz twą piłkę." Wszyscy chłopcy odradzali mu jednogłośnie od tego śmiałego zamiaru, on atoli znikł wkrótce w zwaliskach starego zamku. Teraz dopiero rozpomnieli sobie chłopcy, w jak straszliwem znajdowali się miejscu, i wszystkich objął strach niemały. Często słyszeli bowiem opowiadania o potępionej księżniczce, która w tych zwaliskach pokutować miała. Gadka głosiła, iż o północy w brzęczących łańcuchach, otoczona gronem zbrojnych rycerzy, księżniczka wozi w łódce na jeziorze niezmierne skarby. Każdy z chłopców malował sobie w żywszych jeszcze barwach te baśnie i wszyscy oddalali się coraz bardziej od zwalisk.

Godzina po godzinie mijała, Antoś jak niewraca tak niewraca. Znagła rozjaśniło się podziemne sklepienie zamku, straszliwy grzmot rozległ się w posępnych zwaliskach, przerywany brzękiem łańcuchów i szczękiem broni. Chłopcy drżąc cali, mówili z cicha do siebie: „Juz po Antosiu". Potem nastąpiło znów ciche milczenie do koła — tak było cicho, że każde plusnięcie ryby w jeziorze słyszeć można było. Żaden też z chłopców nie śmiał się ani ruszyć.

Czekali tak ze dwie godziny, gdy znagła ukazała im się na zwaliskach jakaś postać biegnąca ku nim. Chcieli uciekać coprędzej, ale jakież było ich zadziwienie, gdy w owej postaci Antosia poznali. Czynili mu rozmaite zapytania, on atoli nie odpowiedział im ani słowa, oddał w milczeniu piłkę Walosiowi, wskazał na twarz, na której miał kilka plam czarnych, na kieszenie napełnione pieniędzmi, i pobiegł spieszno do domu.

Sąsiedzi i krewni Antosia pozbiegali się niebawem, by co usłyszeć o jego przygodzie, on jednakże milczał uporczywie. W rozmaitych domysłach wracali więc do domu, łamiąc sobie głowę, zkąd pochodziły pięć czarnych plam na twarzy Antosia, które się ni wodą, ni mydłem zgładzić nie dały.

Antoni oddał przyniesione pieniądze ojcu, który z początku trwożliwie i badawczo spoglądał na nie, później jednak przyjął je jako dar Opatrzności, która go poratować chciała w nędzy, w jaką go wprawiły drogie i ciężkie czasy. Pospłacał więc swych wierzycieli, kupił sobie nowy warsztat stolarski, oporządził chędogo swą rodzinę, a za resztę wystawił piękny nagrobek niedawno zmarłej żonie. Ale od tego czasu mijali starzy i młodzi Antoniego; tylko Walenty, syn bogatego gościnnego, został mu wiernym towarzyszem i nie lękał się pięciu tajemniczych plam na jego twarzy. Temu też tylko i ojcu swemu objawił Antoś przygodę swoją, i w ten sposób dostała się ona w usta gminu.

* * *

Onego strasznego wieczora zaszedł Antoni w głąb zapadłego zamku; nie lękał się niczego, bo miał czyste sumienie i szedł śmiało naprzód. Wtem uderzył nogą o łańcuch, i ujrzał postać z rogami, kopytami i iskrzącemi oczyma w ciemnościach, która mu zastąpiła drogę. Lecz gdy się przeżegnał, jasność jakoby w południe rozszerzyła się wśród gruzów. Chłopiec poleciwszy się opiece bozkiej, oglądał się za piłką. Nie znalazłszy jej, zwrócił kroki w inną stronę, lecz cóż tam zobaczył!.... O kilkanaście kroków od niego stała w łódce pani cudnej piękności, w czerwonej sukni, w kwiatkach i brylantach na głowie. Przepasana była złocistym paskiem wysadzanym brylantami, a srebrne wstęgi zwieszały się od pasa aż do nóg, na których miała złote trzewiki. Przerzucała szuflą pieniądze, któremi łódka napełnioną była, atoli ujrzawszy Antoniego, upuściła ją z ręki. Jej twarz rozradowała się, podniosła piłkę leżącą w łodzi, a ukazawszy ją Antoniemu, dała znak, by się przybliżył. Ten też pobiegł śmiało ku pani, ale szatan zaskoczył mu drogę, owionął go ogni-

stym płomieniem i zabrzęczał okropnie łańcuchami. Chłopiec przeżegnał się powtórnie, spojrzał ku niebu, złożył ręce i zmówił „ojcze nasz.” W tej chwili posłannik ciemności skurczył się i zamienił w ogromnego koguta z podwójnym dziobem i pierzem podobnem do ognistych węgli. Chłopiec przeżegnał się znowu i czart zamienił się w ogromnego szczura, tak wielkiego jak pies, a nakoniec w szkaradną ropuchę, która roztaczała szkaradny odór siarczysty. Przy wszystkich tych przemienieniach chłopiec żegnał się prawą ręką; przy ostatniem atoli w wielkiem zmięszaniu omylił się i uczynił to lewą. Przez to dostał się na chwilę w moc czarta, który dotknął twarz jego łapą i nacechował go na całe życie. Ogromny grzmot załopotał, a szatan, wśród wykrzyku: „biada mi, biada mi oto sprawiedliwy!” z łoskotem znikł w gruzach.

Gdy się Antoni zbliżył do księżniczki, ona upadła mu do nóg, dziękując, iż zmusił okropnego dozórcę do odstąpienia jej na chwilę. Mówiła chłopcu, by usiadł przy niej w łódce, ale on odrzucił te zaprosiny. Potem wzkazała ręką na ścianę na której byli odmalowani rozmaici rycerze. Znagła zaczęli się poruszać, opuścili swe miejsca na ścianie i rozpoczęli rozmaite gry i tańce, które z początku bardzo bawiły księżniczkę. Wkrótce atoli zaczęła niezmiernie płakać, bo ujrzała starca, który dotychczas stał nieporuszony na ścianie, a teraz opuścił swe miejsce, i grożąc rycerzom, upadł nieżywy na ziemię. Szczęk broni i wesoły zgiełk umilkł i rycerze powrócili na swoje miejsca.

Niedługo potem ogromna woda zalała podziemne sklepienia i Antoni był zmuszony wstąpić do łodzi, by nie utonąć. Księżniczka uchwyciła żelazne wiosło, i władała niem z takiem wysileniem, że krople potu wystąpiły na jej piękne czoło. Tak przybyli nakoniec do wielkiej sali, wykładanej marmurem; tutaj znikła zwolna woda, ubiegając przez szpary w ścianie. Księżniczka wysiadła z łodzi, Antoś musiał usieść przy niej na wysłanej miękko kanapce, a ona podparłszy smutnie głowę na ręku, tak opowiadać zaczęła:

„Kochane dziecko, dwa razy na dzień muszę tę uciążliwą odprawiać podróż w pocie czoła, atoli zasłużyłam na to przez moje bezbożne i bezużyteczne życie. Mój ojciec posiadał niezmierne skarby; patrzaj, jak ich szczątki błyszczą w tej tu łodzi. Wielką część majątku ojcowskiego straciłam i roztrwoniłam na rozmaite zbytki; nic z niego nie użyłam na dobro mych bliźnich. Z surowością i okrucieństwem był każdy ubogi odepchnięty od mych progów. Ustawicznie otaczała mnie zgraja próżniaków, którzy mnie bawili rozmaitemi grami i tańcami, jak to przed chwilą widziałeś. Tym to wyprawiałam uczty i bale, a dom mój zawsze był dla nich otwartym. Chęć do zabaw przytłumiła w mem sercu nawet najświętsze uczucia dziecinnej miłości. Mój sędziwy ojciec spędzał ostatnie życia chwile na łożu boleści, a ja niepocieszałam go, ani nie pielęgnowałam. Tak umarł, mimo swych dostatków, z mej winy; bo i sludzy, korzy go otaczali, poszli za moim przykładem i oddawali się całkiem zabawom, nie troszcząc się o chorego pana. Częstokroć niewidywałam przez całe tygodnie mego chorego ojca; gdyż nie mogłam znieść zagniewanej jego twarzy i napominającego głosu. Wreszcie stał się podobniejszym do szkieletu, niżeli do żyjącego człowieka, lecz i to jeszcze nie wzbudziło we mnie litości, lecz przeciwnie cieszyłam się, iż go się wkrótce pozbędę. Nie myśląc o pokucie i poprawie, trwałam ciągle zatwardziale w grzechach. W tem jednego dnia mój prawie umierający i zgłodniały ojciec zebrał ostatnie siły, i oparty na kiju, z grożącą dłonią, ukazał się przed wesołą drużyną mych gości, wyrzucając mi moją nieczułość. Wszyscy zamilkli na to zjawisko, on zaś wyrzekł okropne przekleństwo na mnie, zachwiał się, upadł i skonał. Bóg powołał wkrótce i moją duszę na swój sąd sprawiedliwy.

„Już od wieków ponoszę tu karę za me ciężkie grzechy, a nikt nie odważył się jeszcze przybyć tutaj i uwolnić mnie przez modlitwę od mego okrutnego dozórcy. Ty pierwszy miałeś tę śmiałość, wybaw mnie więc ze wszystkiem. Postaraj się o to, by do tych zwalisk przybyła procesya, której jednakże nic brakować nie powinno, jeżeli mam być zbawioną. Więcej niż trzy procesye przyjść tu nie mogą; jeżeli żadna z nich nie będzie bez nagany, jestem na zawsze zgubioną i moje męczarnie powiększą się jeszcze”.

Antoni przyobiecał postarać się o procesyą bez nagany, poczem księżniczka oddała mu piłkę i garść złota, i odprowadziła go aż do wyjścia, a żegnając się z nim błagała go jeszcze kilkakrotnie, by się przyczynił do jej wybawienia.

Zaraz nazajutrz poszedł Antoś do swego spowiednika i prosił go usilnie, by się podjął procesyi na wybawienie potępionej księżniczki. Atoli kilka tygodni minęło nim zdołał nakłonić zwykle tak uczynnego plebana. Nareszcie przyszło je-

dnakże do tego. Antoni uważał, by nie brakowało czegośkolwiek. Wtem spostrzeżono człowieka, który szedł bez świecy. Śmiech szyderczy, śmiech szatański, który echo stokrotnie powtórzyło, odbił się w podziemnych sklepieniach; ognista łuna ukazała się ludziom, i ciężkie westchnienie wydarło się z piersi kobiecej. Antoni rozpaczał prawie. Processya nieudała się. Daremnie były prośby jego, by ją powtórzono, wyśmiewano się tylko i szydzono z biednego chłopca.

Minęły lata, ludzie krzywo na Antoniego patrzeli, bo wszyscy uważali go za człowieka, który miał styczność z tajemniczemi duchami. Pięć czarnych plam na jego twarzy niezmiernie go szpeciły, i rzadko którzy rodzice pozwalali dzieciom z nim się wdawać. Tak doszedł lat młodzieńczych, postępując cicho i samotnie na drodze tego życia. Ponieważ ludzie go mijali, przyzwyczaił się żyć z sobą samym, i był tak szczęśliwym. Oko jego i dusza uwielbiały tem żywiej dzieła Stwórcy swego. Każde ziarnko, każdy robaczek, każda roślina, wszystko co go otaczało, zajmowało i cieszyło go, i bardzo był zadowolnionym, lubo mu tego nikt by nie był wierzył. I Walenty opuścił go; gdyż ten spyszniał na majątek po rodzicach odziedziczony, a skromny i pracowity Antoni zdawał mu się niestósownym do jego towarzystwa, ponieważ nie uczęszczał na hałaśliwe zabawy i nie kładł wartości na piękne i koszowne stroje.

(Dokończenie nastąpi.)

# JASKINIA POTĘPIEŃCA.

## POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Szybko jak mogli i ile ciemność pozwalała, uciekali do zamku... już dobiegali do wieży, gdy ich dwa ogromne psy dognały i jeden z nich schwycił cygana za udo, a drugi szatnego za ramię. Krzyknęli obaj przeraźliwie ze strachu i z bólu, schwycili psy za gardziele i odrzuciwszy na bok, wskoczyli do lochu, który znajdował się pod wieżą i na szczęście był obecnie otwarty.

Gdy się psy uciszyły, poszedł szatny do swego mieszkania, rozkazując cyganowi zachować się jaknajspokojniej, aby go podstarości nie wyśledził.

Ledwie tylko szatny się oddalił, zamknął cygan drzwi od lochu, zaparł je na zaporę i usiadłszy, ukrył twarz w dłonie, a łzy puściły mu się z oczu.

Po malej chwili rzekł sam do siebie:

— O! gdybyś *ty* wiedziała o tem, co się ze mną dzieje! Gdybyś *ty* była przytomną tej zniewadze, którą mi wyrządzają, pewno *twe* czułe serce płakałoby ze mną razem... Chociaż jam... nędzarz, a nawet co gorszego od nędzarza, jednak czuję, żem człowiek! Nikomu nic złego nie wyrządziłem, a oni mnie biją i psami szczują! Pójdę teraz!... Ale jak ciężko opuścić mi *ciebie*... och! ciężko!... Jednak muszę...

Gdy tych słów domawiał, dał się słyszeć szelest kroków i promień światła padł na cygana. Zerwał się na równe nogi, bo sądził, że to po niego idą. Przyskoczył do drzwi, aby w razie potrzeby siłą ramienia swego dodać mocy zaporom.

Promień światła pochodził od dziury we drzwiach do lochu. Cygan zbliżył się do dziury i z niemałem przerażeniem, a zarazem i zadziwieniem, ujrzał przed sobą.... Cześnikiewicza i jego służącego z latarką.

Idąc, rozmawiali półgłosem. Przechodząc około drzwi, wymówili te słowa:

— Więc niewiele mu się dostało, — mówił cichym, ale gniewnym głosem Cześnikiewicz, — źle się sprawiłeś, było łotra ubić pod batogami.

— Miałem też ochotę do tego, — dodał służący, — ale szatny wzbronił i....

Więcej nie mógł dosłyszeć, bo przeszli. Za chwilę i światło znikło mu z oczu.

— Więc i ten godzi na moje życie! — jęczał biedny cygan. — Com ja mu uczynił złego? Nic nie zawiniłem, prócz tego, że mu równym nie jestem.

Łzy strumieniem popłynęły mu po twarzy, w głowie uczuł zawrót i oparł się na wilgotnej ścianie. Nogi zaczęły mu się trząść, że mimowolnie sklęsnął w kolanach i usiadł. Pod sobą uczuł jakiś węzełek.

Usiadłszy zasłonił twarz rękami i dumał długo, długo....

Nagle zerwał się do góry i głosem ponurym, grobowym, wyrzekł te słowa:

— Jeszcze raz ją zobaczyć!.... a potem... umrzeć!!

Wymówiwszy te słowa, obejrzał się naokoło. Deszcz już ustał, a księżyc sierpowaty, wciskał swe blade światło szparami i szczelinami do lochu, rysując na przeciwległej ścianie świetliste hieroglify.

Ze zdumieniem spoglądał po lochu, nie mogąc pojąć, czemu prędzej światła nie spostrzegł. Spojrzawszy na miejsce, na którem dotąd siedział, zobaczył węzełek.... poznał go od razu.

Uśmiechnął się boleśnie....

— O! wy rzeczy moje, w których tyle lat przeżyłem! — szepnął. — Przybyłem tutaj z wami, niechaj też z wami opuszczę to miejsce rozkoszy i męczarni.

Tu podniósł w górę węzełek. Były to te same pokrwawione rzeczy, które miał na sobie, gdy rozhukane zatrzymał konie. Krew już teraz zaschła i wyglądała jak pancerz.

Bez namysłu zrzucił rzeczy, które miał na sobie, a wdział swoje stare. Natychmiast uczuł się spokojniejszym, swobodniejszym.

— Teraz jeszcze ją zobaczyć, a potem.... umrzeć.

Po tych słowach zbliżył się do drzwi, po cichu, ostróżnie spuścił zapory i wyszedł. Chmury znów zaciągły na niebie i ciemność zrobiła się wielka.

Cygan obszedł zamek naokoło, zbliżył się do jednego klombu i tam ukląkł, wlepiwszy oczy w ciemne okno zamkowe. Klęcząc złożył ręce jak do modlitwy i tak czas niejaki pozostawał. Potem się podniósł i zniknął w ciemności.

---

Tymczasem na zamku zebrani panowie i panie bawili się dalej. Nie mogąc się dowiedzieć przyczyny wrzawy na dziedzińcu, przestali o niej mówić i niedługo potem zupełnie o tem, co zaszło, zapomniano. Tylko po Cześnikiewiczu byłby każdy poznał zmianę, gdyby był pilne dał na niego baczenie. Już nie sypał dowcipami, a jeżeli jaki powiedział to z przymusem. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi, prócz pań, które dotychczas bawił. Przypisywały one tę zmianę bądźto ciągłemu milczeniu panny Celiny, bądź też innej jakiej okoliczności, która dała powód roztargnięcia Cześnikiewicza.

Po wieczerzy poszli wszyscy do salonu i tam bawili się dość późno w noc, już bowiem było dobrze po północy, gdy damy panów opuściły. Celina oddaliła się spiesznie do swej komnaty. Wnet też kazała odejść pannom służącym, bo chciała sama pozostać. Zostawszy sama, zagasiła światło, usiadła na fotelu, przy oknie i.... zaczęła płakać.

Z początku sama nie wiedziała, czemu płacze, dopiero zwolna, pomału, zaczęły się tworzyć w jej duszy obrazy, które też ustami wypowiadała, robiąc pomiędzy pojedyńczemi zdaniami długie przestanki.

— Więc cię chcą oddalić, — mówiła do siebie ze łzami, — wypędzają cię w świat.... odemnie.... a ja tak rada z tobą przebywałam!.... Nie mam patrzeć na ciebie.... nie mam mówić z tobą!.... Boże! cóż się dzieje ze mną? Ja — Stolnikówna Turajska, przyszła pani i dziedziczka wielkich dóbr, a on!.... Jednak wszystkie dobra, wszystkie klejnoty, wszystkie rozkosze, nic nie znaczą wobec jednego twego spojrzenia!.... a ciebie wypędzają!.... Czemuż mnie Pan Bóg nie stworzył żebraczką,

chłopianką, nędzarką, kiedy mi dał takie serce?....

Tu nastąpiło długie milczenie, przerywane czasami łkaniem bolesnem.

Gdy się cokolwiek uciszyła, mówiła znów dalej:

— O! i w twojem oku wyczytałam płomień, który dla mnie tli w sercu twojem.... Twoje oko tak czyste, że przez nie widzę twą szlachetną duszę. O! tak, ty mnie kochasz!.... Nieszczęśliwy!.... i ja nieszczęśliwa!....

Chwila milczenia.

— Często cię o tej porze widziałam pod mojem oknem.... czy się gniewam o to? nie.... bo.... bo.... ach!!

Nowy potok łez przerwał jej mowę.

— Może i teraz spoglądasz tutaj, czy mnie nie ujrzysz!....

To mówiąc podniosła się, uchyliła zasłony i łzawe oko utkwiła w przeciwległym klombie.

— Ach!... widzę cię, widzę.... — mówiła do siebie dalej, — klęczysz.... pewnie prosisz o błogosławieństwo Boga dla mnie, bo mnie kochasz. Nieszczęśliwy, nie wiesz, że tak rychło musisz się ze mną rozłączyć! O! gdyby można.... gdyby można, powiedziałabym ci, że i ja.... że i ja... że... i.... ja.... ciebie kocham!! Boże, co mówię!.... Ach serce mi pęknie!!.... Boże! czemuż nie jestem tak, jak i on.... cyganką?!....

To mówiąc, z głośnym płaczem ukryła twarz w dłonie i rzuciła się na fotel.

Jak długo tak siedziała, sama nie mogłaby powiedzieć, bo jej duch uleciał daleko, daleko w krainę marzeń.

Naraz drzwi się otworzyły, światło w pokoju zabłysło i w progu ukazała się ze świecą pani Stolnikowa.

— Celuniu! jeszcze to nie śpisz? — zapytała matka, zbliżając się do córki, — cóż to? ty płaczesz? — dodała, widząc łzy na jej licach, — cóż ci to?

Celina otarła łzy.

— To nic, mamo, — odpowiedziała, — to nic, płakałam, sama nie wiem czego, — dodała, starając się ukryć swoje rozstrojenie duszy.

Stolnikowa usiadła, schwyciła córkę za głowę i złożyła macierzyński pocałunek na jej czole.

Domyślam się, — rzekła, — czego płaczesz, moja kochana Celinko!

Celina zadrzała.

— O! nie mamo! nie! — odpowiedziała drżącym głosem, — nie domyślasz się, bo ja sama nie wiem, czego płaczę. To minie, to przejdzie!....

Stolnikowa spojrzała na córkę z uśmiechem niedowierzania.

— To minie.... to przejdzie.... ha! moja córko, trudno matkę oszukać, — rzekła z łagodnością. — Twoich łez nie potrzebujesz się zapierać, bo one chyba tylko dowodzą u ciebie wiele uczucia. Chciałam się sama o twem usposobieniu dowiedzieć, nim z ojcem coś stanowczego przedsięweźmiemy. Pan Cześnikiewicz oświadczył się dzisiaj ojcu — powiedz mi teraz, czy mu twej ręki nie odmówisz?

Celina w głos zapłakała.

— Ależ się uspokój, Celuniu! — rzekła szybko pani Stolnikowa, — jeżeli się sama ciebie pytam, to możesz z tego wnioskować, że zmuszać ciebie ani ja, ani twój ojciec, nie będziemy. Pewnie pan Cześnikiewicz i tobie się już oświadczył; powiedz mi więc, coś mu przyrzekła.

Celina przestała teraz płakać — widocznie jakieś postanowienie zawładnęło jej duszą. Po krótkiej chwilce namysłu, rzekła głosem stanowczym;

— Kochana mamo! pan Cześnikiewicz nie oświadczył mi się jeszcze, a jeśliby mi się oświadczył, to.... nie przyjmę jego oświadczenia, bo ja.... kochana mamo.... ja.... pójdę do klasztoru!....

Ostatnie słowa wymówiła z wielkiem wysileniem, a potem, głośno płacząc, rzuciła się w objęcia matki. Stolnikowa z przerażeniem wysłuchała córki. Do klasztoru? cóż to?.... Jedynaczka, dziedziczka wiekiego klucza ... i do klasztoru?.... Niepodobna!

— Proszę cię, Celuniu, cóż ci to? czy cię głowa boli? Zkąd ci myśl o klasztorze przyszła do głowy?

Celina nic nie odpowiedziała, tylko wciąż płakała. Stolnikowa uspakajała ją, jak mogła, ale to nic nie pomogło.

Stolnikowej nie pozostawało nic więcej, jak pozostawić córkę samą, sądziła bowiem, że wstąpienie do klasztoru jest wyskokiem chorobliwej fantazyi Celiny, lub jej antypatyi do Cześnikiewicza. Rzekła tedy, całując córkę w głowę:

— Nie troszcz się moje dziecko, ani ojciec, ani ja, zmuszać cię nie będziemy. A teraz oddal od siebie złowrogie myśli, Pan Bóg wszystko na dobro twoje nakieruje. Dobra noc!

Pocałowawszy córkę jeszcze raz w czoło, wyszła.

Celina rzuciła się na kolana.

— Matko kochana, — wyszeptała, — mówiłaś, że Bóg wszystko na moje dobro nakieruje!.... Oby się spełniły twoje słowa prorocze!.... ale to niepodobieństwem. Trzebaby chyba cudu!.... Cudu? — dodała po chwili, — czyż Bóg już cudu uczynić nie może?.... Nie!.... dla mnie Bóg cudu czynić nie będzie. Dla mnie nie pozostaje nic więcej, jak.... klasztor!....

---

Nazajutrz po opisanych wypadkach zeszli się około południa Stolnikostwo i Cześnikiewicz na śniadanie. Twarze wszystkich były posępne, ponure. Stolnik był kwaśny, Cześnikiewicz roztargniony, a panie milczące. Mianowicie Celina siedziała blada i nieruchoma, jak piękny posąg z białego marmuru.

Milcząc zjadł Stolnik, jak miał we zwyczaju, potężną porcyą mięsa i popłókał kilku kieliszkami wina; dopiero humor jakoś mu się naprawił, a twarz rozjaśniła. Zwróciwszy się do Cześnikiewicza, rozpoczął rozmowę.

— Wiesz panie Cześnikiewiczu, — rzekł, — żeśmy cygana źle osądzili! Nie sądziłem nigdy, aby w takim człowieku mogło znajdować się tyle dumy.

— Jakto? — zapytał zaambarasowany Cześnikiewicz, — dumy? w cyganie? proszę mi wybaczyć, panie Stolniku, że nie rozumiem.

— Wierzę temu, wierzę, że waćpan nie rozumiesz — odpowiedział Stolnik; — opowiem więc waszmości, jak się to stało. Owóż cygan nie przyjął ofiarowanych mu pięćdziesięciu dukatów — powiedział, że za pieniądze życia swego nie sprzedaje, że ludzkość i poświęcenie pieniędzmi się nie płaci. Co więcej, natychmiast opuścił zamek.

Cześnikiewicz, który od samego początku pilnie, gorączkowo słuchał mowy Stolnika, odetchnął przy ostatniem zdaniu, jakby mu kamień spadł z piersi.

— Cóż pan na to, panie Cześnikiewiczu? — zapytał Stolnik po chwili.

Cześnikiewicz wzruszył ramionami.

— Z mojej strony milczałbym w tym względzie, — odpowiedział, — gdybyś pan Dobrodziej o moje zdanie nie pytał. Sąd mój wypadnie inaczej. Nie duma skłoniła cygana do odrzucenia tak znacznej ofiary, ale...

— Szlachetność!.. — przerwała panna Celina, a równocześnie:

— Obraza uczucia!.. — dodała pani Stolnikowa.

Cześnikiewicz się zarumienił.

— Przepraszam panie łaskawe, — ciągnął dalej, — że, chociaż ze żalem, wyznać muszę, iż sympatyi dla tego cygana z paniami podzielać nie mogę. Wiem o tem naprzykład bardzo dobrze, że cygan nocami się oddalał; że, kiedy każdy udał się na spoczynek, on w nocy obchodził zamek naokoło. A w jakim zamiarze? łatwo odgadnąć. Każdy cygan jest złodziejem a zatem...

Stolnikowa patrzała już od chwili na Cześnikiewicza wzrokiem tak oburzonym, że tenże czuł się jak pod pręgierzem. Panna Celina zaś w głos płakała.

Pomimo to Cześnikiewicz po małym przestanku ciągnął rzecz swą dalej:

— Podejrzenie, które miałem, wzrosło wczoraj tembardziej, gdy mi służący doniósł następną rzecz. Dojrzał go najprzód w nocy wychodzącego z lochu pod wieżą. Potem pono się pokręcił przed zamkiem, pozostawał pod oknami panny Celiny, a wreszcie wyszedł z dziedzińca i pobiegł do lasu. Mój służący puścił się za nim w pogoń, ale cygan biegł tak szybko, że go złowić żadną miarą nie mógł. Mimo to, nie byłby może uszedł pogoni, ale łotr biegł ku jaskini potępieńca. Strach wziął mego służącego, że nie oglądając się, pędem wrócił do zamku. — Cóż teraz państwo o tem sądzicie?

Stolnik kiwnął głową.

— Cóż o tem sądzić? — rzekł.

— Owszem! — odpowiedziała Stolnikowa, — można wiele o tem sądzić. Wzburzony niespodzianką, jaką mu sprawiliście, sądził, że tylko szybkość nóg zbawi go przed pogonią; dla tego uciekał. A że nocami miał się ze zamku wykradać to wierutne bajki i pan Cześnikiewicz dał się w pole wyprowadzić.

— Ależ moja Jejmość! — przerwał Stolnik, — mówisz o niespodziance, jakąśmy mu sprawili — cóż to? czyż kazałem mu się zaraz na wieczór oddalać? Owszem, miał dopiero

dzisiaj opuścić zamek, i to z wszelkiemi honorami. Że uciekł, za to nie mogę.

— Uciekł? nie uciekł, mój mężu, tylkoście go wypędzili. Zresztą ów człowiek dowiódł, że ma więcej delikatności, jakby się po nim spodziewać można. Życzę więc sobie, mój mężu, aby kilku wsiadło natychmiast na koń i owego człowieka na wszelki przypadek odszukano. Tego sobie wyraźnie życzę. — Pójdź ze mną Celuniu!

To rzekłszy, powstała i wyszła z córką z komnaty.

Cześnikiewicz pobladł, Stolnik pokręcił wąsa i pogładził czuprynę.

— Nasz cygan pozyskał nawet protekcyą pani Stolnikowej Dobrodziejki, — bąknął Cześnikiewicz z przekąsem.

Stolnik się zamyślił.

Po chwili powstał i rzekł:

— Cóż czynić?.. Trzeba koniecznie cygana odszukać, kiedy Jejmość kazała. — Sam przyznać muszę, że to nieprzyjęcie podarunku, jako też nagłe jego odejście z powodu, iż kazałem się wynosić, całkiem mnie inaczej dla niego usposobiło. Dowiódł tem bowiem, że ma pewien rodzaj charakteru i że nie jest tym, kim go być sądziliśmy.

— Przepraszam pana Stolnika, — przerwał Cześnikiewicz, — mam go o jednę rzecz prosić. Chciałbym rad towarzyszyć ludziom, którzy mają odszukać cygana.

— A jakże... a jakże... możesz waszmość pojechać, zwłaszcza, że i ja pojadę. Daleko być nie może, jednakże wątpię, abyśmy go wyszukali. Chociażbyśmy go dognali, to z pewnością skryje się przed nami.

— Naturalnie, — wtrącił Cześnikiewicz, — naturalnie, skryje się przed nami, bo pewnie sumienie jego nie zanadto czyste.

Stolnik machnął ręką.

— Uprzedzenie, uprzedzenie — wymówił, — waszmość nabiłeś sobie głowę plotkami służących, dla tego bez przekonania wyrażasz się pogardliwie o człowieku, którego wprawdzie nie znamy, a któremu jednak winniśmy bardzo wiele.

Nie czekając odpowiedzi, poszedł Stolnik do dzwonka i zadzwonił. Służący niedługo wszedł do komnaty.

Stolnik dał rozporządzenie, aby podstarości zbytecznych ludzi wysłał konno w celu odszukania cygana, a zarazem, aby dla niego i dla Cześnikiewicza przyprowadzono konie.

Lokaj wyszedł.

W pół godziny stało się podług rozkazu. Kilkunastu jeźdźców stało koło bramy, czekając na przybycie Stolnika, który też niebawem wsiadł na koń, a z nim razem i Cześnikiewicz.

Kiedy odjeżdżali, wyszła pani Stolnikowa z panną Celiną na ganek.

Orszak ruszył z kopyta ku lasowi.

Panna Celina ze łzawemi oczami patrzała za odjeżdżającymi.

— Czyż go znalezą? — zapytała.

Stolnikowa wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, — rzekła, — ale życzę sobie tego.

— O! i ja życzę sobie tego! — szepnęła tak cicho, że tego Stolnikowa dosłyszeć nie mogła.

Stolnikowa zwróciła się i poszła do swej komnaty, zostawując córkę samą na ganku.

---

Celina zostawszy sama, zeszła z ganku, poszła do ogrodu i chodziła błędnie pomiędzy zaroślami świerkowemi w najodleglejszej części ogrodu. Była tam altana całkiem bluszczem zakryta, zwana pospolicie bluszczową altaną.

Do tej altany weszła Celina, rzuciła się na ławę i zaczęła gorzko płakać, a wyrazy urywane, zdania niedokończone, wydobywały jej się z piersi:

— Zobaczę go jeszcze?.. — pytała sama siebie wśród łkania, — zobaczę go jeszcze?..— powtarzała — o! serce mi mówi, że go jeszcze zobaczę! Lecz nie powinnam go widzieć... nie powinnam jego i mego serca rozdzierać, bo... och! to nieszczęście urodzić się na zamku, mieć perły i dyamenty, a... On... nieszczęśliwy... ja nieszczęśliwa... po cóż ten ból w sercu?... po cóż go kocham?... o! niech go jeszcze raz ujrzę... o! niech...

Nagły szelest zbudził ją, Celina zerwała się, bo... przed nią klęczał cygan.

Celina powstała, postąpiła krok ku niemu, ale znów upadła na ławę.

— Ty-żeś to, nieszczęśliwy przyjacielu! Widzęż więc ciebie? — wyjękła ze łzami.

— O! przebacz miłościwa pani! o! przebacz mnie nędznemu!.. — wyjęknął tak samo cygan. —- Nie mogłem przewieść na sobie . cóś mnie tu pchało, gnało, ciągnęło.

— Wstań, nieszczęśliwy, wstań! Przybliż się do mnie, spojrzyj na mnie, niech jeszcze raz popatrzę w twoje oczy, niech się chwilę napawam ich blaskiem, a potem... idź!

To mówiąc powstała, chwiejącym krokiem zbliżyła się do niego i podała mu rękę, którą cygan z nieopisanem uniesieniem okrył pocałunkami.

— Idź! idź!.. — szepnęła, — nie powinniśmy się widzieć. Ale na ostatku spojrzyj na mnie, wyryj sobie mój obraz w twej duszy, jak ja twój mam wyryty.

Chwilę patrzyli oboje na siebie.

Cygan klęczący dotąd jeszcze trzymał jej drzącą rękę. Wreszcie Celina cofnęła lekko dłoń swoją i odchodząc rzekła:

— Idź teraz mój przyjacielu!

— Nie zobaczę już ciebie, o pani?.. — zawołał cygan głosem rozpaczliwym.

Celina zatrzymała się u wnijścia do altany, spojrzała nań z litością i mimowolnie wymówiła:

— Przyjdź tu jutro o tej samej porze na... pożegnanie.

To mówiąc spiesznie odeszła.

———

Stolnik tymczasem na czele orszaku wyjechał do lasu. Kilka jeźdźców wysłał rozmaitemi drogami, a reszta zsiadłszy z koni, rozeszła się po lesie. Sam zaś z Cześnikiewiczem udał się ku jaskini potępieńca.

— Jutro każę rozwalić tę dziurę, — rzekł Stolnik do Cześnikiewicza, — zobaczymy, czy tam jaki bies będzie się znajdował.

— Tak długo nie czekałby, — odrzekł Cześnikiewicz z uśmiechem, — ażeby kamienie na głowę jego się zwaliły, ale uciekłby przed czasem, jak nasz cygan.

— A zawsze wspominasz waćpan o cyganie!

— Bo też to rzecz najważniejsza; wszakże go szukamy?

— Prawda!., ale czy go znaleziemy?

Cześnikiewicz wzruszył ramionami.

— W każdym jednak razie jutro rozpoczniemy jeszcze przed południem, — ciągnął dalej Stolnik, — a wieczorem już jaskinia potępieńca nie będzie istniała. Świdry mam już w pogotowiu. Każę prochem skałę rozsadzić, a dąb ściąć, lub też razem ze skałą w górę wysadzić. Tak raz na zawsze zburzymy siedzibę mniemanego biesa i położymy kres dalszym baśniom.

Pojechali dalej.

Mimo szukania, wołania, wrócił cały orszak z niczem; cygana nikt na oczy nie ujrzał. Prawdę mówiąc, nikt też nie spodziewał się go odszukać, gdyż od wczoraj wieczora, jak sądzili, znaczny kawał drogi powinien był już odprawić, a jeśli się jeszcze znajdował w poblizkości, to po wczorajszem zdarzeniu nikomu ukazać się nie będzie pragnął.

Powrócili zatem do zamku nie sprawiwszy interesu.

Stolnikowa podczas nieobecności męża dowiedziała się coś o tem co wczoraj zaszło z cyganem, jednak niedokładnie, bo ci, co wiedzieli, prawdy powiedzieć nie mogli, a ci, którzyby radzi całą prawdę mówili, mało co wiedzieli. Jednak różne po pałacu krążyły pogłoski z których Stolnikowa wymiarkowała, że cygana spotkało coś niegodziwego ze strony podstarościego, a że ten miał poprzednio jakieś konszachty ze służącym Cześnikiewicza, więc oczywiście padało i na niego podejrzenie, jakoby i jego ręka w tem działała.

Kiedy orszak powrócił z niczem, zmartwiła się mocno Stolnikowa; z góry spojrzała na Cześnikiewicza, a na jego powitanie bardzo ozięble odpowiedziała.

Celina wcale się już tego dnia nie pokazała, wymówiwszy się tem, że chora.

Cześnikiewicz udał się na swoje pokoje. Zmięszany oziębłością Stolnikowej, zniecierpliwiony lamentami nad bezskutecznem poszukiwaniem, chodził wzdłuż i wszerz po komnacie. Nareszcie stanął przy dzwonku i zadzwonił na służącego.

Niebawem zawołany wszedł.

Był to mężczyzna około trzydziestu lat liczący. Z oka jego błyskała przebiegłość a usta zawsze uśmiechnięte, cechowały chytrość lisią. Marcin — tak było imię służącemu — towarzyszył Cześnikiewiczowi na wojażce i był jego najzaufańszym powiernikiem w Paryżu. Nabrał więc też do swego pana owej uniżonej poufałości, która charakteryzuje sług do tajemnic przypuszczonych.

Marcin stanął przy drzwiach i z uśmiechem przypatrywał się jeszcze chodzącemu Cześnikiewiczowi. Z twarzy swego pana poznał dobrze, co się w duszy jego działo, dla tego zebrał

szybko w myśli to wszystko, coby mógł na możliwe zapytania odpowiedzieć.

Wreszcie Cześnikiewicz stanął, zwrócił się do Marcina i rzekł na pół z gniewem, na pół z wymówką:

— Kiep jesteś Marcinie! Nie sprawiłes się wczoraj dobrze, nie wykonałeś mego rozkazu!

— Owszem, Wpanie, wykonałem co do joty, i gdyby mi ten... szatny... nie był wlazł w drogę, no!... byłby cygan zdrowo nie wyszedł. A tak nietylko sam mało co dostał, ale jeszcze podstarościemu żeber natrząsnął.

— Powiedz mi, — przerwał Cześnikiewicz, — wiedzą na zamku państwo Stolnikowie o tem?

— Nie wiem! — odpowiedział Marcin wzruszając ramionami, — mam jednak podejrzenie na szatnego, bo był dzisiaj długo u pani Stolnikowej. Pewno wszystko wypaplał.

— Niech go djabli wezmą... łajdaka!... krzyknął Cześnikiewicz w gniewie. — Ty zaś, gdyby się kto pytał, milcz, jak kamień! Rozumiesz?

— Rozumie się, naturalnie!

— A teraz przygotuj mi inny ubiór.

Marcin natychmiast zabrał się do układania rzeczy według porządku, w jakim je się przywdziewa. Podczas tej roboty kilka razy strzelił okiem z boku na Cześnikiewicza, który znów pogrążony w myślach, przechadzał się po komnacie.

Marcin chciał widocznie rozpocząć rozmowę; parę razy chrząknął, zwrócił się do Cześnikiewicza, ale ten jakoś tego początkowo zrozumieć nie chciał, czy też nie mógł. Wreszcie sam musiał się zdecydować.

— Proszę Wpana dziwne rzeczy dzieją się tu na zamku.

Cześnikiewicz stanął i spojrzał ciekawie.

— Dziwne rzeczy? — zapytał — jakto?

— Ha! nie wiem, czy mam to powiedzieć czy nie, bo może Wpan sam to już wie.

— I cóż takiego? do djabła? krzyknął Cześnikiewicz zniecierpliwiony.

Nim Marcin odpowiedział, wprzód z uśmiechem spojrzał na Cześnikiewicza.

— JWpanna Stolnikówna kocha się na zabój! — rzekł.

Cześnikiewicz się uśmiechnął.

— Głupiś! — powiedział pół śmiesznie, pół dumnie, - powiadasz mi to, o czem sam już dawno wiedziałem. Przecież nie trudno odgadnąć; gdybym tylko... ale tego nawet nie potrzeba, bom aż nadto pewny.

Marcin podniósł głowę.

— Ktoby się tego był spodziewał! — mówił Marcin dalej, — taka dumna i wyniosła pani i zakochała się...

— Milcz durniu! — krzyknął urażony Cześnikiewicz — cóż ty sobie myślisz?!

— Wiele sobie myślę, — ciągnął dalej nieustraszony Marcin, — bardzo wiele sobie myślę, bo to rzecz niesłychana, aby kiedy Stolnikówna jaka miała kochać się w człowieku takim, jak...

Cześnikiewicz rozgniewał się na seryo.

— Słuchaj, głupcze! — zawołał, — jeśli pozwalam ci kiedy do mnie mówić poufale, to nie przestępuj granic służalca; a nie, to ci każę uszy poobrzynać, łajdaku!

— Proszę JWpana, w niczem nie przestąpiłem granic należnego uszanowania, tylko powiadam to, co mnie do żywego oburza. Zniewaga mego pana i mnie sługę obchodzić musi.

— Czyś ty szalony, czy pijany, Marcinie? — rzekł na to Cześnikiewicz, — o jakiej zniewadze mówisz?

— Wiem, — odpowiedział Marcin, — że Wpan konkurentem panny Stolnikównej, a ona...

— No! jeśli więcej zniewagi twój pan nie doznał, — zawołał ze śmiechem Cześnikiewicz, — to możesz być spokojnym. Sam wiesz, jak mi to powiadasz, że panna Celina kocha się we mnie na zabój; więc zkąd tu mowa o zniewadze? hę?

— Zniewadze!?.. mowa?.. kocha się i to w Wpanu?!.. — powtarzał osłupiały Marcin patrząc na Cześnikiewicza z wyrazem do nieopisania, a w ręku gniotąc żabot z najpiękniejszych flamandzkich koronek.

Osłupienie Marcina uderzyło Cześnikiewicza.

— Czegoś się tak zagapił? — zapytał.

Marcin spuścił głowę.

— Wpan się myli, — rzekł, — i to bardzo się myli. Panna Stolnikówna nie kocha się w Wpanu! — dodał z przyciskiem.

Tu przyszła kolej osłupienia na Cześnikiewicza.

— Co.. o.. o?.. ja.. a.. a.. ak?.. — wybełkotał przeciągle.

— Tak! — potwierdził Marcin.

— W kimże się tedy kocha? — zapytał Cześnikiewicz drżącym głosem ze wzburzenia.

Marcin nie odpowiadał zaraz.

— W kim kocha się panna Stolnikówna? zaraz mi gadaj! — krzyknął Cześnikiewicz tonem rozkazującym.

Marcin jeszcze się wachał.

— Gadaj mi zaraz błaźnie!! — krzyknął teraz Cześnikiewicz piorunującym głosem.

Marcin zwrócił oczy na swego pana i rzekł stanowczo:

— JWpanna Stolnikowa nie kocha się we Wielmożnym Panie, ale... w cyganie!

— Kłamiesz, złoczyńco! — krzyknął znowu Cześnikiewicz, zerwał się i przyskoczył ze zamierzoną ręką do Marcina, ale ten stał spokojnie. Cześnikiewicz rozbrojony spokojnością sługi, pohamował swój gniew, spuścił rękę i zwrócił się napowrót. Chwilę nie mógł wymówić ani słowa, tak był wzburzony, zmięszany. Raz zawrzał gniewem na wspomnienie, że się przed służącym strasznie skompromitował, po drugie krew uderzyła mu do głowy na wiadomość, że Celina przeniosła nędznego cygana nad niego, Cześnikiewicza, edukowanego w Paryżu. — Ale może to wszystko jeszcze nieprawda.

Zwrócił się więc do Marcina, który tymczasem spokojnie, ze szyderczym uśmiechem na ustach, układał rzeczy dalej.

— Szalony człowieku! — zawołał Cześnikiewicz, — strzeż się, aby pan Stolnik nie dowiedział się o twojej plotce, gdyż ręczę, żeby cię kazał na pierwszej lepszej suchej gałęzi powiesić.

— Niechby mnie kazał i w sztuki porąbać; — odrzekł Marcin flegmatycznie, — jednak to, co powiedziałem, pozostałoby zawsze prawdą. To nie jest plotka, ale fakt rzeczywisty; sam byłem świadkiem...

— Czego? — przerywując zapytał Cześnikiewicz z gorączkową niecierpliwością.

— Byłem świadkiem schadzki panny Celiny z cyganem.

Cześnikiewicz zadrgnął.

— Kiedy? — zapytał.

— Dzisiaj! — odpowiedział Marcin.

— Człowieku, tyś oszalał! — zawołał Cześnikiewicz.

— Dzisiaj się to jednak stało, gdyście państwo polowali na cygana.

— A on tu był?

— Tak, on tu był.

— I cóż się stało?

— Ha! panna Celina patrzała mu w oczy, napawała się ich blaskiem, a jemu kazała także patrzeć na siebie, aby jej obraz w jego cygańskiej duszy mógł się wyryć na zawsze.

— A potem?

— Potem kazała mu przyjść jutro na pożegnanie.

Cześnikiewicz potarł ręką czoło; w głowie mu się przewracało, tak ta nagła wieść piorunem w niego uderzyła.

— Jak się to stało, Marcinie, — rzekł po chwili, — opowiedz mi wszystko w porządku.

Marcin zaraz zaczął opowiadać.

— Kiedy orszak wyjechał za bramę, widziałem, jak panna Celina udała się do ogrodu. Z ciekawości pobiegłem za nią... to bardzo piękna pani!.. warto na te cudne liczka popatrzeć. Skradając się za nią, widziałem, że weszła do bluszczowej altany, a ja skryłem się pomiędzy świerkami, i ujrzałem, jak panna Celina rzuciła się na ławę. Tam tedy płakała i w niebogłosy wyrzekała, że przyjaciela nie zobaczy, że chciałaby go jeszcze raz ujrzeć, że nieszczęśliwa.

Tu opowiedział wszystko, co Celina mówiła do siebie.

— Ledwie wymówiła, — ciągnął dalej Marcin, — te słowa: po cóż go kocham? ujrzę go jeszcze?.. aż tu nagle z przeciwległego klombu wychodzi przeklęty cygan, klęka przed nią, a ona podaje mu rękę. No! żem nie wyskoczył i cygana nie udusił, dziwię się sam sobie, pewno mnie bestya oczarował. Stoję tedy cicho i słucham, co będą dalej mówili do siebie. O! gdybyś był Wpan słyszał, jak cygan, niby słowiczek śpiewał, że go coś do niej gnało i pchało! Głupi cygan! czemu nie powiedział co go pchało i gnało? niby to człowiek uczciwy nie wie! Oto bies z piekła, jego rodzoniuteńki stryjaszek gnał go do... no! niech i tak będzie. Panna Celina podała mu więc rękę, którą cygan całował... proszę sobie wyobrazić! cygan całował jej rękę!.. Potem kazała mu odejść, a kiedy on znowu się pytał, czy ją jeszcze raz ujrzy, odpowiedziała, że jutro w południe ma przyjść na pożegnanie. To więc widziałem i słyszałem; i teraz proszę, niech mi kto powie, że to nieprawda!

Cześnikiewicz stał blady, oparty o stół.

To co słyszał z ust Marcina zdawało mu się takiem niepodobieństwem, że sądził, iż marzy. Jednakże rozum powiadał mu, że bynajmniej nie marzy, ale na jawie słyszy od naocznego świadka.

— Ha! — rzekł po chwili, — jeśliś widział, co opowiadasz, to ci już wierzę. Powiadałeś już o tem komu?

— Nie!

— Widziała cię panna Stolnikówna?

— Nie!

— A cygan nie widziałże cię?

— Nie!

— To dobrze. Nie mów więc na Boga nikomu o tem, coś widział, lub coś słyszał, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Ja ci to wynagrodzę, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Możesz teraz odejść!

— Dobrze Wpanie!

To wymówiwszy Marcin wyszedł.

Gdy Cześnikiewicz sam się pozostał, rzucił się na siedzenie i puścił myślom wodze. Wystawić sobie można, jakiego rodzaju mogły być jego myśli. On, tak dumny, tyle o sobie rozumiejący, egoista, pobitym został od... cygana! Pierwszą jego myślą było porzucić natychmiast Turaj, odjechać do swego pałacu, ale po chwili odmienił zamiar. Postanowił pozostać przynajmniej do jutra, złowić cygana, pomścić się na nim zniewagi.

— Ha! ha! ha! — śmiał się sam do siebie, — więc to panie Cześnikiewiczu, cygan ciębie ze siodła wysadził!.. na słowo, piękny zaszczyt. Ale poczekaj! łajdaku! jeśli cię to na gałąź nie zawiedzie, to kpem będę ostatnim. Zobaczymy się jutro... już ja ci miłość do Stolnikównej z głowy wybiję!..

Po chwili milczenia, rzekł znowu do siebie:

— Sam się nie poznaję, sam sobie się dziwię, że taki człowiek, jak cygan interesować mnie może!.. Ot! głupstwo! — dodał powstając, — o miłości w rzeczywistem znaczeniu pomiędzy Celiną a cyganem mowy być nie może, tylko chyba... no! ale cóżby mi Marcin miał w oczy kłamać? Przekonamy się jutro!

To mówiąc ubrał się i poszedł do salonu.

Ni słowem, ni miną nie zdradził, co się w sercu jego działo, owszem zdawał się być wesołym. Nikt z twarzy nie byłby się domyślił walki i wzburzenia, które wrzało i gotowało się w jego piersi.

Rozmowa toczyła się głównie około jutrzejszego rozstrzelania groty. Wyznaczeni do tego ludzie mieli przygotowane świdry i inne narzędzia górnicze, potrzebne do pracy około kamienia. Dla wspanialszego widoku postanowił Stolnik nie ścinać dębu, tylko go w powietrze razem ze skałą wysadzić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## POŻYTECZNOŚĆ SOWY.

W gołębniku pewnego nauczyciela w ........ wylęgły się sowy, w których gnieździe napotkano mnogie szczątki myszy, szczurów i kretów. Pomimo że zagnieżdżona w ciemnym kącie gołębnika sowa samica tym samym otworem wylatywała co gołębie, te nie okazywały jednak żadnego przestrachu ani niepokoju. Wracając na gniazdo samiec znosił regularnie siedzącej na jajach a później na młodych samicy myszy, szczury i krety. Na wieży w pobliżu leżącego kościoła znaleziono przy reparacyi więcej niż sto gniazd wróbli, jaskółek i plichu, które się tam swobodnie lęgły i nigdy przez sowę nie były łowione. To by dawało niejaką pewność, że sowa nie bierze ptaków, a więc nie mogłaby być szkodliwą, gdyby tępiąc myszy i szczury zaoszczędziła kreta, o którym wiadoma, że ten żywiąc się pędrakami, jest dla rólnika nadzwyczaj pożytecznem stworzeniem.

## WYCHÓW KACZEK W CHINACH.

Podobnie jak starożytni Egipcyanie wychowywali kurze jaja, tak wychowują po dziś dzień Chińczycy kacze jaja w piecach lub w mierzwie. Po wylężeniu wywożą je w małych łodziach na brzeg morski, gdzie się żywią ostrygami, muszelkami i owadami morskiemi. Wśród żerowania mięszają się naturalnie kaczki z rozmaitych pochodzące łodzi, ale na brzęk metalowego talerza, jakiego chińska orkiestra używa, wszystko powraca do swej właściwej łodzi. Na rzece przepływającej Kanton, stoją na kotwicy wielkie statki, które w sobie mieszczą tysiące kaczek. Wypuszczone na dzień do wody pływają swobodnie, ale na wieczór, gdy ich pastuch uderza w dzwoniący talerz muzyczny, wszystko w największym pośpiechu wraca i ciśnie się na pokład po rzuconych do wody drobnych ze statku schódkach, ostatnie bowiem zwykle rózgą wychłostane bywają.